PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 20. *Warszawa, 16 maja 1914.* Widok 3.

TREŚĆ: Niewczesne gratulacje. — HELION: Skry. — ORION: Echa Prawdy: Czyja wina? Zaćmienie Warszawy. Dziwy życia. Gdzie jest Duma? Osobliwy spór. Kto zamknął T. K. P.? — ST. ROMANOWSKI: Z literatury politycznej. — L. BRUNN: Fałszywa demokracja. — J. PAPINI: Człowiek śród ludzi. — R. ZRĘBOWICZ: G. K. Chesterton. — M. LIMANOWSKI: Z teatru dla Teatru.

Niewczesne gratulacje.

1.

Warszawa i Poznań: któżby się domyślił, że dwa te miasta przedzielone są odległością kilku zaledwie godzin drogi? Czytając drobiazgowe w czasopismach wiadomości o tym, co się dzieje w Meksyku; o tym, co się dzieje w Stanach Zjednoczonych, i nadaremnie dosłuchując się jakowegoś echa, któreby przyniosło głos żywy z Poznania; któreby powiedziało o tym, co się dzieje w Wielkopolsce, na Ślązku, na Mazurach Pruskich lub Pomorzu: możnaby pomyśleś, że cały zabór pruski nie jest ciałem, od ciała naszego oderwanym; że leży gdzieś poza polskim widnokręgiem życia, dalej niż Meksyk i jego wojna.

I vice versa.

W zeszłym tygodniu wskazywaliśmy na tym miejscu rysy, wzdłuż których pęka i rozpada się jednolita ongi świadomość narodowa Polski, na trzy coraz bardziej obce sobie, coraz bardziej od siebie różne dzieląc się odmiany.

I nim głos nasz dosięgnął uszu czytelników, zaszedł fakt, tak nieubłaganą wymową stwierdzający rzeczywistość niebezpieczeństwa i prawdę naszych obaw, że to, cośmy tydzień temu oglądali w świetle dziennym, dzisiaj widzimy jakoby w świetle błyskawicy.

2.

Kurjer Poznański gratuluje nam w szeregu majowych numerów, poświęconych rozważeniu polskiej polityki narodowej, gratuluje nam niemal ze łzą rozrzewnienia w oczach... samorządu, jaki otrzymać ma Królestwo z ręki Rady Państwa, a raczej nie z ręki, ale z zaciśniętej pięści, która nam grozi, która stopniowo w swym uścisku twardym reformę społeczną na biurokratyczną przetwarza represję.

«Faktem jest — pisze *Kurjer Poznański* — że, gdy rząd pruski nową przeciwko nam kuje ustawę antypolską, rząd rosyjski wystąpił przynajmniej w społecznej dziedzinie z projektem samorządu miejskiego, uwzględniającym choć w bardzo ograniczonej mierze język polski, i że rząd rosyjski dąży rzeczywiście do przeprowadzenia projektu w izbach prawodawczych. Czy w Radzie Państwa znajdzie się ostatecznie przy osobistym poparciu ministrów skromna większość zwolenników projektu, blizka przyszłość okaże. To pewna, że sprawa samorządu miejskiego w Królestwie ma doniosłe znaczenie dla sprawy polskiej wogóle, to też całe społeczeństwo polskie, nie tylko w obrębie granic państwa rosyjskiego, wyczekuje, jaki będzie wynik ostateczny.»

Ciśnie się pytanie na usta: skądże to głos ten dochodzi? Czy z Meksyku? Z Ceylonu? Z Afganistanu? Gdzież to tak bujna spraw naszych w Królestwie znajomość rozkwitła? Czy podobna, aby to był głos bratni, głos z sąsiedniego miasta, z nad sąsiedniej rzeki, z pralechickiego gniazda?

Więc to, co z piersi naszej dobywa się skargą i wyrzutem, to już o kilka polskich stajań dalej, na harfie tej samej mowy brzmi jako hymn dziękczynienia?

To, co na życie nasze wali się młotem przygnębienia, to już za pierwszą miedzą ucho-

dzi za rzecz otuchę krzepiącą, potęgującą siły i zdrowie narodu?

Na to, co my widzimy ze smutkiem, wielkopolanin miałżeby patrzeć z zazdrością?...

3.

Nie będziemy tu wyliczać raz jeszcze wszystkich wad i niedoborów samorządu, którego obietnica wisi nad nami, jak rózga komety, wiodąca Koło Polskie w Petersburgu od porażki ku porażce, od upokorzenia w upokorzenie. Jedyna bowiem doniosłość projektu samorządowego ujawniła się w tym, że stał się on pętem, obezwładniającym posłów naszych w Dumie, tlumikiem na ich głosy i kagańcem na ich usta.

Pominiemy także uwagę, jaką już poza nami uczyniono w prasie warszawskiej, że: dzielnica polska w Prusiech ma oddawna samorząd w zakresie daleko szerszym, niźli ten, w jakim projekt rządowy zarysował się w Dumie, nie wzmiankując już o tej postaci, w jakiej tenże projekt okaleczony został w Radzie Państwa: wszak w tej ostatniej wytrawiono z projektu ostatnie szczątki polskości, że z równą słusznością odtąd projekt ów można nazywać samorządem polskim, jak gruzińskim, jakuckim lub turkmeńskim.

Ale zapytać natomiast musimy organu opinji poznańskiej z jakich źródeł czerpie swe o nas wiadomości? Czyim oświetla nas światłem? Czyimi spogląda na nas oczyma?

Gdzież to gra ta uroczysta w Królestwie fanfara na cześć spodziewanego dobrodziejstwa, którą *Kurjer Poznański* zdaje się słyszeć? Czyżby sięgał po nią aż nad Newę? Czyżby jej szukał aż w redakcji *Nowego Wremi* lub *Moskowskich Wiedomosti?*

Albowiem słuch nas nie myli. *Kurjer Poznański* prawie tymi samymi każe nam wyrazami radować się na myśl o samorządzie, w jakich winszuje nam tegoż samorządu prasa Guczkowów i Bobrynskich: to, co w prasie tej poczęte było jako jad, mający nas powalić, to przez rodaków naszych z poza Warty z dobroduszną ochotą smakowane jest jak ożywczy napój,... i jako ulga zachwalane.

Ah! prawda — — —

Kurjer Poznański nie miał potrzeby koniecznej udawać się do Moskwy lub Petersburga...

Kurjer Poznański mógł w te same zaopatrzyć się wiadomości w warszawskiej prasie ugodowej: w *Gazecie Warszawskiej*, w *Gazecie Porannej*, w *Kraju*... Na świecie bywają nieraz osobliwego rodzaju powinowactwa z wyboru.

4.

A w wyniku?

To, co w jednej dzielnicy płynie wązkim łożyskiem partyjnym, to w drugiej transponuje się już na ogólne tło narodowe!

To, co jest w Królestwie słabością i upadkiem idei, to już w Poznaniu uchodzi za dogmat polityczny!

To, czym tutaj tuczy się ambicja osobista, lub, w najlepszym razie, korzyść stronnicza, to w dzielnicy sąsiedniej podaje się za pokarm narodowi!

Przekleństwo! Przekleństwo mgłom, które nas duszą w nieporozumieniach, które nas śmiertelnymi owijają skrętami! Które sprawiają, że twarz brata jawi się nam ubrana w uśmiech szyderczy *Nowego Wremi*, a słowo Bobryńskich dźwięczy troską serdeczną na ustach rodzonych brata... że w którąkolwiek stronę padnie nasz gniew, wstręt lub pogarda ze krwią wypluta, nie masz pewności, czy na głowę brata nie upadnie!...

5.

Oto skutki tej różnicy, jaka powstała między Księstwem Poznańskim a Królestwem: czyż mamy dopuścić, aby obojętnością zobopólną i głuchotą na odczucia wzajemne przepaść ta rosła wciąż i pogłębiała się nadal bez końca?

HELION.

Skry.

W każdej powieści znakomitego nawet pisarza znajdują się sceny, w które trudno uwierzyć, tak są nieprawdopodobne. Są to zazwyczaj sceny wiernie skopjowane z życia.

***

Najokrutniejszą postacią odpowiedzi bywa milczenie.

ORION.

Echa Prawdy.

I. Czyja wina? II. Zaćmienie Warszawy. III. Dziwy życia IV. Gdzie jest Duma? V. Osobliwy spór. VI. Kto zamknął Towarzystwo Kultury?

I. Przysłowiowa francuska znajomość geografji błysnęła znów w całej krasie na szpaltach *Matin'a*, który sygnalizował z uciechą «posuwanie się Słowian na Zachód» na dowód czego przytoczył wykaz posiadłości i stowarzyszeń polskich... w W. Ks. Poznańskim!

— «Skandaliczna ignorancja! — woła z tego powodu prasa polska. — *Matin*, wysyłający korespondentów do badania spraw meksykańskich, chińskich i t. p. nie wie, że Poznańskie to odwieczna ziemia polska, którą usiłują zalać koloniści pruscy, nie zaś odwrotnie».

Nie chcemy bynajmniej bronić Francuzów przed zarzutem «kalectwa» w tej dziedzinie, bo ta skandaliczna ignorancja zakrawa istotnie na kalectwo; musimy jednak zauważyć, że co się tyczy nieznajomości we Francji spraw polskich, niemała również wina leży po naszej stronie.

Dzięki bowiem wadliwej organizacji czy też karygodnej bezczynności *Biura Prasy Polskiej* w Paryżu, nie mamy stałego i ścisłego kontaktu z prasą francuską, ani tem mniej z francuską polityką. Wszystko, co się w Paryżu robi w tej dziedzinie, robi się dorywczo i luźno, przyczem niebrak nigdy niepowołanych i kompromitujących orędowników polskości w rodzaju Adama hr. Orłowskiego. Dwudziestopięcio-miljonowy naród polski, będący wskutek swego położenia w Europie Środkowej ważnym atutem w grze o hegemonję mocarstw — niema nawet w przybliżeniu tak sprawnej i czynnej ekspozytury swych interesow, jakie posiadają w Paryżu i w innych centrach Rusini, Litwini, Finlandczycy, Czesi, Serbowie, nie mówiąc już o Żydach, których zabiegliwość i czujność daje się nam często we znaki zwłaszcza w ostatnich czasach.

Kiedy zwracano uwagę kierownikom *Biura Prasy Polskiej* w Paryżu na ich szczególny kwietyzm, odpowiedź brzmiała:

— A niech tam te podrzędne narodki zabiegają koło swych interesów. Nam to nie przystoi!

Osobliwy zaiste arystokratyzm! Kryje się pod nim pospolite lenistwo i gnuśna niedbałość. Czas już nareszcie zrozumieć, że właśnie te wielkopańskie giesty wcale nam dziś nie «przystoją» i że w polityce jak i wszędzie *les absents ont toujours tort*.

II. W sierpniu r. b. przypada całkowite zaćmienie słońca, widoczne w zachodniej i południowej Rosji. W tym samym czasie nastąpi inne zjawisko, mniej może widoczne, lecz również niewątpliwe: częściowe zaćmienie Warszawy — przez Łódź.

Warto się nad fenomenem tym zastanowić. Tyle nam trąbiono w uszy o niebywale szybkim wzroście i świetnej przyszłości naszego miasta, że w końcu zamknęliśmy oczy na widoczny tu na każdem polu zastój i bezwład. Tymczasem Łódź, mimo wadliwego swego położenia, braku wody i t. d., mimo że dotąd jest zwyczajnym miastem powiatowym, mimo że cierpi od konkurencji fabryk moskiewskich, od niedogodnych taryf kolejowych, od strejków, kryzysów i bankructw—rozwija się potężnie siłą swej energji (niestety — niepolskiej) i promieniuje na cały kraj.

Rocznik Statystyczny z r. b. wydany przez Biuro Pracy Społecznuj wykrył fakt osobliwy, że w Łodzi jest znacznie więcej budynków murowanych niż w Warszawie. Pisma doniosły, że konsorcjum kapitalistów łódzkich wznosi wielką elektrownię w Sosnowcu celem budowy całej sieci kolei lokalnych Zagłębia.

Koleje podjazdowe łódzkie sięgają coraz dalej, niby macki potwora mitycznego, obejmują Zgierz, Pabianice, Konstantynów, Ozorków, Łask... Ostatnio, jak już wiadomo, konsorcjum kolejowe łódzkie zdobyło koncesję na budowę nowych podjazdówek Warszawa — Błonie i Warszawa — Żyrardów.

Jest to, bądź co bądź, fakt niepokojący i znamienny. Łódź jest przecież wytworem cudzej energji i kapitałów obcych.

Rosnąca jej hegemonia w kraju z uszczerbkiem Warszawy jest jednym więcej jaskrawym dowodem naszego niedorozwoju w dziedzinie gospodarczej i finansowej. Doniosłe dzieło budowy całej sieci kolei podjazdowych w Królestwie Polskiem, dzieło, związane ściśle z ekonomicznym podniesieniem kraju, wymyka się już teraz z rąk polskich, zagarniane dłońmi lodzermenschów. Gdy ci z niezłomną energją dążą do coraz to nowych podbojów ekonomicznych — cóż robi Warszawa?

Buduje teatry, wystawia premjery, opiewa wdzięki aktorek i jeździ statkami spacerowymi po Wiśle, co wszystko razem niezmiernie zaprzątа umysły naszych luminarzy, ale nieszczególne daje wyobrażenie o wielkości Warszawy.

III. Życie polskie, napozór bezbarwne i nieciekawe, w gruncie rzeczy pełne jest niezwykle fantastycznych cudów... Dziwnie się tu sprawy ludzkie poplątały; pierwiastek cudowności nie zaginął dotąd i stąpamy po świecie pełni zdumienia, jak w czasach Kirkora i Goplany.

Czy nie należy np. do dziwów życia miasto fabryczne i handlowe Białystok, gdzie ludność polska stanowi zaledwie piątą część mieszkańców i trudni się wyłącznie pracą najemną? Rozkazo-

dawcy Żydzi pozwalają łaskawie tym helotom po polsku rozmawiać i myśleć, ale raz na zawsze zakazali miejscowej prasie polskiej cytować poglądy *Myśli Niepodległej* i *Prawdy* na moralność *Talmudu*. Kiedy *Gazeta Białostocka* poważyła się przekroczyć owo mistyczne *tabu*, obrażony Izrael tknął ją palcem i śmiercią poraził. Współpracownicy zaś tego pisma, potomkowie rycerskiego dawniej narodu, kładą uszy po sobie i śpieszą pokajać się płaczliwie za obrazę żydowskiego majestatu... Czy to wszystko nie są dziwy, czytelniku?

Dziwy również niemałe, acz odmiennego rodzaju, dzieją się w Lublinie, gdzie ludność żydowska i polska żyje na wojennej stopie. Mimo to znalazł się Żyd osobliwy, który zechciał udziałem pieniężnym i pracą wesprzeć teatr polski, mniemając w naiwności ducha, że to chyba tylko Żydzi-nacjonaliści mogą mu wziąć za złe. Zawiódł się srogo: wzięto mu to za złe właśnie ze strony polskiej, a pod naciskiem lokalnej kliki kołtunów entuzjasta kultury i sztuki polskiej został uznany za żywioł obcy i wrogi.

Wprawdzie smutny los *Tow. Kultury Polskiej* upoważnia zrzeszenia tudzież instytucje polskie do wielkiej ostrożności i nieufności względem osób żydowskiego pochodzenia, które, zwłaszcza w większej będąc liczbie, zwierają się niewidocznie w zastęp wojowników Sjonu. Ale działacze lubelscy dalibóg mocno w czujności tej przeholowali. Dziwy również niemałe dzieją się w prasie polsko-żydowskiej która z tego powodu wielki czyni harmider, a milczy, jak zaklęta, o tem, że na Podolu i na Rusi żydowscy właściciele cukrowni wyrzucają hurmem pracowników polskich, a kandydatów do pracy wypytują pilnie o ich pochodzenie. Kto jest Polakiem, ten miejsca nie dostanie, choćby był nawet mistrzem swego fachu. Izrael jedną połową ust głosi Polakom hasła tolerancji i wzniosłe pryncypia humanitarne... a drugą połową ust miota na nich klątwy biblijne i zaprzysięga śmiertelną iście starozakonną zemstę... P. Kipman w Lublinie cierpi może niewinnie za to, że warszawscy rycerze Sjonu w masce socjalistów podstępnie wdarli się do *Tow. Kultury Polskiej* i zostawili po sobie kupę gruzów. Ale Izrael zajadle i mściwie znęca się nad Polakami w swoich fabrykach, i kantorach kijowskich, białostockich, łódzkich, a «humanitarna» prasa żydo-polska uważa to za rzecz godziwą.

Inne jeszcze dziwy dzieją się na ziemiach polskich. Oto np. warszawski rycerz Sjonu nawołuje hufce żydowskie do boju po całej Galicji, a straż jego przyboczna pięściami i laskami rozpędza polskich malkontentów. Lecz gdy autor niemiłych Żydom badań o Talmudzie zechciał także skorzystać z galicyjskiej wolności słowa — krakowski dyrektor policji Żyd Flattau pośpieszył uznać to za niebezpieczne dla państwa wichrzenie...

Różne jeszcze fantastyczne rzeczy roją się w życiu polskim; «humanitaryzm» semicki przekrawa je, niby zatruty z jednej strony nóż Balladyny: co sprzyja Żydom — to dobre, szlachetne, postępowe; co im zawadza — to podłe, nikczemne i wsteczne. Cudowna prostota!

IV. Gdzie jest Duma? — oto pytanie, nad którym obecnie zastanawiają się Kadeci z panem Milukowem na czele. Jak wiadomo, Duma dokonała sama na sobie amputacji. Odcięła od swego ciała całe dwie partje: ogółem 21 posłów wydalono za drzwi, przyczym niektórych członków tej «wysokiej» instytucji musiano wywlekać z sali siłą fizyczną. To właśnie napawa Kadetów niepokojem i wątpliwością: gdzie obecnie znajduje się Duma? Z tej strony drzwi, czy z tamtej? Gdy posłowie skrajni hałasowali, zagłuszając przewodniczącego i niedopuszczając do głosu ministrów, Kadeci w duszy sprzyjali tej obstrukcji, ale jednocześnie bledli na widok tak strasznej zuchwałości. Kadeci całą siłą pragnęli zaprotestować przeciwko ograniczeniom wolności słowa na trybunie poselskiej; postanowili wespół z partjami skrajnymi upomnieć się stanowczo o zabezpieczenie nietykalności posła, zarówno w tym, co czyni, jak w tym, co mówi w Dumie. Kiedy jednak wybuchła obstrukcja, Kadeci ulękli się solidarności z lewicowym sprzymierzeńcem i w następstwie spokojnie się przyglądali, jak posłów, protestujących w imię powziętej decyzji, wyprowadzano kolejno z sali.

Nigdy może tak jaskrawo, jak w tej chwili nie wystąpiła przyrodzona słabość Kadetów: połowiczność. Chcieliby oni stać się jądrem Dumy, lecz cóż? — sami są pozbawieni jędrności. Między mocną i twardą prawicą, a również zdecydowaną i twardą opozycją lewicy wahają się ustawicznie, mieląc językami piasek terminologji parlamentarnej: śmieszni, postokroć śmieszni, gdy w najkrytyczniejszych momentach stale powstrzymując się od głosowania, wierzą, iż nad sobą wstrzymali — miecz odpowiedzialności.

V. Od miesiąca toczy się osobliwy spór między posłem warszawskim Jagiełą a posłem moskiewskim Malinowskim o to, który z nich mniej posiada praw do reprezentowania rzesz robotniczych polskich.

Z rozprawy polemicznej wynika, że *(teza Jagieły)* Malinowski, wybrany na posła w Moskwie, obdarzony mandatem nie przez Polaków, do przedstawiania ludu polskiego w Dumie nie ma praw żadnych; Jagieła zaś, *(teza Malinowskiego)* wybrany przez Żydów, ma praw do zastępstwa ludu jeszcze mniej. Malinowski *(twierdzi Jagieła)* uzyskał mandat poza Polską; Jagieła *(twierdzi Malinowski)* uzyskał mandat wbrew Polsce, a wszczególności wbrew wyraźniej woli dwóch trzecich przedstawicielstwa robotniczego w gronie wyborczym.

My, ze swej strony, przyznać musimy, że obie strony mają rację. Zapytujemy wszakże, dlaczego nie wysnują ze swych założeń racjonalnych — wniosków praktycznych!

VI. Organ posła Malinowskiego (z Moskwy), któremu *Kuźnia* wileńska odmawia wszelkich praw do reprezentacji ludu polskiego (i słusznie!), organ wychodzący w Petersburgu pod nazwą *Nowa Trybuna* oskarżył naszą *Prawdę* o to, iż ona to przyczyniła się do zamknięcia przez władzę Tow. Kultury Polskiej; przyczyniła się, rzekomo, w ten sposób, iż w artykułach swych zwróciła uwage władz na charakter socjalistyczny propagandy, w niektórych oddziałach Towarzystwa szerzonej.

«*Prawda* — czytamy w organie posła Malinowskiego — ukuła strzeliste słówko o żydach marksistach, którzy do Tow. Kultury P. wnieśli nabitą maszynkę piekielną *walki klas*. Naganka podziałała. Po zawieszeniu T. K. P. nastąpiło w kilka miesięcy ostateczne jego zamknięcie. Teraz zaś w rok przeszło po zawieszeniu, Senat odrzucił skargę apelacyjną zarządu Tow. Kultury. Umotywowanie wyroku jest dosłownie zapożyczone z organów postępu polskiego. Bo, wedle tego, co donosi *Gołos Moskwy*, jak okazuje się z wiadomości zebranych przez warszawski wydział ochrany, zwolennicy istniejących w Królestwie Polskim tajnych organizacji rewolucyjnych, przedostawszy się do odziałów T. K. P. rozwinęli w nich swą propagandę, w celu przeobrażenia oddziałów legalnego stowarzyszenia w faktycznie partyjne organizacje... Jak widzimy, — kończy *Nowa Trybuna* — wiadomości warszawskiego wydziału ochrany tak dokładnie harmonizują z wiadomościami *Prawdy*, *Humanisty Polskiego* i innych gadzin, że niewiadomo, które źródło wiadomości miało pierwszeństwo, i trudno się zorjentować, czy to *ochrana* informowała postępowców, czy postępowcy informowali ochranę».

Kto informował *ochranę?*

Podejmujemy to pytanie i — możemy dokładną służyć odpowiedzią.

Wprawdzie, moglibyśmy nie odpowiadać wcale. Moglibyśmy tylko do waszej — szanowni panowie, — odwołać się tradycji i do waszej historji, która utkana jest z denuncjacji, ze szpiegostwa, z prowokatorstwa, które kamienia nie pozostawiło na kamieniu z gmachu waszej siły niedawnej. Od wewnętrznej padliście gangreny. Nie siła was złamała, ale do rdzenia kości przeżarła was zgnilizna. Iluż to, powiedzcie, wyszło z szeregów waszych zdrajców, ilu przeniewierców: czyście nie zliczyli jeszcze? A moze w tej chwili jeszcze lękacie się zamknąć obrachunku? Może na podkreślenie listy zbrodniczej jeszcze zawcześnie? Może ten, który szpiegów dziś ze zgrozą oblicza, jutro piekielny ich korowód powiększy? Powiedzcie: czy każdy z was może dziś jeszcze za brata ręczyć? Czy może ręczyć sam za siebie? Gdzie są wasze granice? Gdzie się kończy wasze bohaterstwo, a zaczyna okropność nieludzka, na którą nazwy niema? Zali Bakaj nie szedł razem z wami, a w następstwie nie szedł przeciw wam, a potym znów nie poszedł razem z wami? Gdzież i dokąd idzie teraz? Czy niema go w waszej *Trybunie?* Przecież jest w niej K. Radek, sądzony ongiś przez was za złodziejstwo!

Więc moglibyśmy posądzenie wasze odrzucić w sam środek obozu waszego: dobrzeby ono się poczuło w tym gnieździe, z którego, otarłszy się o szubienicę, wyszedł Azef i Harting i Bakaj. Moglibyśmy nie odpowiadać, gdyby rąk nie paliły nam dowody, które dla ran waszych i dla waszej gangreny stać się mogą żelazem rozżarzonym, żelazem, które oby was uleczyło, biedni szaleńcy, skaczący przez sznur szubienicy w nadludzkie regjony, aby coraz częściej walić się w przepaść zwyrodnienia.

Nowa Trybuna powołuje się na motywy wyroku władz. Dlaczegóż ich nie doczytała do końca? Oto, coby pod koniec znalazła:

«Wytworzenie się w roku ubiegłym — cytujemy dosłownie — antagonizmu między społeczeństwem polskim a żydowskim także w stopniu niemałym wywarło wpływ na życie wewnętrzne Tow. Kultury Polskiej. Lewica, wzmocniwszy się dopływem żywiołu żydowskiego, okazała się tak silna, że na odbywającym się w styczniu r. b. (1913) ogólnym zjeździe dorocznym delegatów oddziałów Tow. odniosła zwycięstwo nad grupą postępowców ze Świętochowskim na czele: fakt ów niewątpliwie świadczył o stopniowym przechodzeniu Tow. K. P. w ręce organizacji socjalistycznych, zwłaszcza zaś «Polskiej Partji Socjalistycznej,» otwarcie głoszącej w uchwałach XI-go zjazdu partyjnego, który się odbył w roku ubiegłym (1912) o zdobyciu przez siebie wielkich wpływów w instytucjach kulturalno-oświatowych kraju Przywiślańskiego».

Któż to więc publicznie wycisnął na T. K. P. stempel partyjny? Kto głosił, że ono pod wpływem partyjnym rzekomo zostaje?

Kto je wydał *ochranie?* pytamy. A co więcej: dlaczego świadectwo zostało wydane fałszywie? Dlaczego, celem dogodzenia nędznej chełpliwości, sfałszowano rzeczywisty stan rzeczy?

Przecież w T. K. P. nigdy nie miał rzeczników interes klasowy: wichrzył tam jedynie nacjonalistyczny interes żydowski, ku okłamaniu robotnika polskiego, ubierający się jedynie w maskę proletarjacką. Z jaką czelnością tę maskaradę wykonywano, świadczy uchwała zeszłoroczna VI oddziału T. K. P., uchwała w pismach ogłoszona, a zawierająca punkt następujący:

«Rozpasanie się polsko-żydowskiej hecy nacjonalistycznej jest wyrazem zaostrzenia się walki ekonomicznej między burżuazją polską a żydowską. Walka ta, jako walka wewnętrzna między dwoma odłamami tej samej klasy posiadającej, nie jest sprawą klasy robotniczej, która przeciwstawia się w równym stopniu burżuazji polskiej, jak żydowskiej».

Uchwała powyższa, zanim rok upłynął, nabrała tragicznej wprost wymowy wobec coraz mnożących się faktów rugowania robotników polskich z fabryk żydowskich i zastępowania ich żywiołem żydowskim; ale nie o to nam tutaj chodzi. Chodzi nam o impet, z jakim dziś oskarżają nas o wystawienie na szwank T. K. P. ci sami, którzy ją otwarcie na zjazdach partyjnych i w publikacjach prasy denuncjowali i przytym, denuncjowali fałszywie.

Fakt denucjacji świadczy o gangrenie wewnętrznej tych ludzi. O rzeczy strasznej.

Lecz fakt, że denucjowano fałszywie, budzi wątpliwość straszniejszą: budzi wątpliwość, czy gangreną ową zarażeni są ludzie? Czy ludźmi ich jeszcze nazwać można?

ST. ROMANOWSKI.

Z literatury politycznej.

IV.

A. DAUZAT: L'expansion italienne.

Ekspansja Włoch iść może w dwu kierunkach: albo ku Morzu Śródziemnemu, albo ku Adrjatykowi. W pierwszym wypadku dążności włoskie zetrą się z dążnościami Francji; w drugim — z interesami Austrji.

Zabór Tunisu (1882) przez Francję dokonany, za podnietą Bismarka, rzucił Włochy w objęcia Trójprzymierza, czyli kazał im poniechać myśli o Adrjatyku, Trieście i Wallonie. Za rządów Crispi'ego oraz w międzyak tach jego rządów polityka sojuszu z Austrją miała charakter jasny i dobitny; marzenia irredentystyczne uległy stłumieniu; nieufność ku Francji podsycały tymbardziej przeciwieństwa ekonomiczne; wrogi stosunek z Francją zjednał natomiast Włochom przyjaźń i poparcie Anglji, naówczas pokłóconej z rządem francuskim.

Po upadku Crispi'ego stan rzeczy we Włoszech się odmienił.

Ale i we Francji także polityka poszła trybem odmiennym: i tu i tam orjentacja zewnętrzna zmieniła się wskutek przeobrażeń wewnętrznych. Konserwatyści, zarówno we Włoszech jak we Francji przeciwni byli zgodzie; żywioły radykalne natomiast z obu stron sprzyjały wzajemnemu porozumieniu. A ponieważ jednocześnie niemal w obu krajach partje konserwatywne (we Włoszech gabinet Crispi'ego, we Francji — Meline'a) ustąpiły miejsca przy sterze rządów partjom postępowym, otwarło się pole dla zadzierzgnięcia sympatji, która przy polityce dawnej nie znajdowała dla się gruntu.

Zbliżenie Włoch ku Francji niezwłocznie odbiło się rozluźnieniem węzłów, trzymających Włochy w Trójprzymierzu. W ciągu lat dziesięciu niejedno przedsięwzięcie włoskie na arenie międzynarodowej doszło do skutku pod znakiem zgody Włoch z Francją. Zręczne posunięcia Delcassé'go, usiłującego na spółkę z Edwardem VII wyosobnić Niemcy, zmierzały ku wciągnięciu do gry przeciwniemieckiej także i Włoch. Traktat handlowy z d. 21 października 1898 r. przecinał między Francją a Włochami długi okres wróżd i niechęci wzajemnych, które Włochom głównie i przedewszystkim wyrządzały szkodę; 10 kwietnia 1901 r. eskadra włoska pod wodzą ks. Genui udała się do Tulonu na powitanie prezydenta Loubeta, obdarzonego naszyjnikiem Annunziaty przez króla włoskiego. W grudniu r. 1901 za sprawą Delcassé'go stanęło między obu krajami porozumienie co do podziału władzy nad morzem Śródziemnym: Francja zawarowała dla siebie Marokko, oddając wzamian Włochom Tripolis i Cyrenaikę (należące do Turcji). Koszta zgody franko-włoskiej wypadło więc zapłacić... państwu Tureckiemu, które o tej bolesnej dla się roli rozjemcy przymusowego do wiedzieć się miało niebawem.

Polityka przychylności francuskiej względem Włoch, wszczęta przez Delcassé'go, trwała poprzez wszelkie zmiany gabinetów ministerjalnych, jak i sama osoba Delcassé'go, który piętno nieustające wyciskał na rządach Brisson'a, Dupuy, Waldeck-Rousseau, Combes'a, Rouviera. Polityka ta miała swój organ energiczny w osobie ambasadora francuskiego przy Kwirynale, Barrère'a, popieranego przez koła radykałów i dreyfusistów francuskich. Celem ostatecznym tej polityki było wysadzenie Włoch z Trojprzymierza i pozyskanie ich, mniej lub więcej ścisłe, dla związku Francji z Rosją, do którego w r. 1903, po wizycie króla Edwarda w Paryżu, zdawała się także przystępować Anglja.

Jednocześnie we Włoszech rząd daje wolny upust dążeniom irredenty; w latach 1903—1904 następują po sobie w miastach włoskich liczne, gorące manifestacje na rzecz nieprzedawnionych praw do Trjestu; naród włoski

z dna pamięci dobył starą, krwawą nienawiść ku Niemcom, odwiecznym jarzmicielom Italii. Uczucie narodowe wzięło długo tlumiony odwet nad wymaganiami dyplomacji. Nie mogło atoli utrzymać się trwale na wysokości. Wymagało czynów, karmić mogłoby się tylko czynami; tymczasem polityka czynna państwa rychło zawrócić miała z powrotem w łożysko austrofilskie: wyprawa na Tripolis odsunęła na czas nieograniczony wszelkie rozrachunki z Austrją.[1]) W bezpośrednim tedy następstwie wykopać musiała grób nowy dla marzeń irredenty, a co za tym idzie odjęła w oczach Francuzów wartość sojuszu włoskiego dla celów przeciwniemieckich. Francja w r. 1901 przyznała Włochom wolną rękę do zaboru Trypolitanji, ale nie życzyła sobie, by zabór ten nastąpił tak rychło. Chciała ona mieć przy swym boku państwo młode, prężne, pełne niezaspokojonych ambicji, z naturalnym odwiecznym porywem walki przeciw Habsburgom, przeciw całemu światu germańskiemu. Nadzieję bogatego łupu Francja ukazywała Włochom dopiero na gruzach hegemonji niemieckiej. Nie wcześniej! nie wcześniej, aż na pobojowisku nowej Jeny, nowego Austerlitzu, aż po pogromie Prus! Francja, organizując koalicję przeciw Niemcom, nie chciałaby jednakże z wrogiem tak brutalnym zmierzyć się pierś przeciwko piersi: ona — tak bogata i wykwintna — zanadto siebie ceni, aby miała wdawać się w okrutny bój własnoręcznie. Chętnie pragnie służyć radą, zasiłkiem, kredytem, ale karku niechby nadstawił kto inny: ktoś, kto mniej ma do stracenia, kto mniej rozkoszne ma życie, komu jest na świecie gorzej, ale kto zato ma więcej krwi... do przelania, i — po tańszej cenie. Dlatego to Francja szuka przymierza śród państw z niższą cywilizacją, dlatego to chciałaby wprządz do swej polityki narody mniej kulturalne, lub wręcz dzikie. Ze swej strony angażuje w politykę intelekt i kapitał: armję natomiast usiłuje rekrutować... w Senegalji, w Marokku, w Rosji, którą wbrew wszelkim wskazówkom oczywistości, uważa za olbrzymi rezerwoar sił militarnych przeciw Niemcom, wreszcie pragnęła także dla celów swych zmobilizować armję włoską. W siłę wojskową własną Francja nie bardzo wierzy. A przytym pod wpływem wszechmocnego kapitalizmu wyrobiła ona w sobie ten sam pogląd na wojnę, jaki oddawna wysnuli z filozofji giełd i banków Żydzi: wojna jest rzemiosłem chamów: natury dojrzałe i delikatne mogą, co najwyżej, podejmować się dostawy materjałów dla wojsk, ale nigdy nie staną w ich szeregu. Otóż, Francja w spodziewanej wielkiej rozprawie orężnej na polach Europy pragnęłaby zastrzec dla siebie rolę *intendentury* w stosunku do obozu swoich sprzymierzeńców: krew niech przelewają inni, pośledniejsi rangą kulturalną!...

Włochy, wyłamując się swą na Trypolis wyprawą z powyższych rachub Francji, straciły dla niej całą wartość. Zrazu, uwikłane w wojnę zamorska, której z początku, zdawało się, nigdy końca nie będzie, potym obarczone ciężarem zbrojnej okupacji kraju, który już, po ukończeniu wojny, zdobywać trzeba wielkim sił nakładem, Włochy tak własną obezwładnione imprezą, przestały być pożądanym dla Francji atutem do wygrania w chwili stosownej przeciw Niemcom. Żal z zawiedzionych wynikły nadziei rychło nie omieszkał w bolesną rozjątrzyć się urazę, która pożądała jedynie powodu, aby wyładować się w postaci niecofnionych zniewag; takim powodem stało się zaaresztowanie przez Włochów dwóch okrętów francuskich *Manouba* i *Carthage*, pod zarzutem dowożenia broni do blokowanej podówczas Trypolitanji. Francja, która w innym czasie puściłaby mimo oczu tę lekkomyślną niegrzeczność swej sąsiadki, teraz, po doznanym zawodzie, wybuchnęła piorunującym gniewem: uczyniła z drobiazgu sprawę gardłową, żądając dla się natychmiast ze strony Włoch gwałtownej satysfakcji, ciężkiej i dla rządu włoskiego nazbyt upokarzającej. Włochy, zajęte wojną, ustąpiły wobec pogróżek Francji aż do granicy upokorzenia, ale w pamięci sprawę *Manouba—Carthage* zachowały, jak oścień w ranie. Odtąd rozłam między Francją a Włochami wzmógł się i stężał ostatecznie; jednocześnie zaś stanowisko Włoch w Trójprzymierzu nanowo przybrało widoki trwałości.

Książka pana Dauzat'a narodziła się właśnie na grobie tej świeżo pogrzebanej miłości franko-włoskiej. Książka ta zalana jest łzami i napełniona smutkiem. Pan Dauzat bowiem kocha Włochy i nie może darować swej ojczyźnie, że sojusz dwóch sąsiadek, dwóch cór kultury łacińskiej, mogący nową w Europie utworzyć orjentację polityczną, nie zapuścił korzeni trwałych w życie, owszem, stał się na długie lata niemożliwy.

Pan Dauzat stara się Włochy przedewszystkim uniewinnić i... rozgrzeszyć z zaboru Libji. Włochy musiały Libję wziąć i, nadomiar, musiały wziąć ją prędko,—tłomaczy autor,—gdyż inaczej prowincja ta wpadłaby w ręce Niemcom. Że Niemcy myślały zdawna o podboju Trypolisu a zwłaszcza Cyrenaiki, świadczy dzieło, które w r. 1904 ukazało się pod wielce znamiennym nagłówkiem

[1]) Że jednak o tych rozrachunkach nie całkiem zapomniano, świadczą świeże przeciwko Austrji manifestacje w Turynie, Medjolanie i Wenecji.

w Berlinie: «Cyrenaika jako pole przyszłego wychodźtwa». W dziele tym podkreślano szczególną dla Niemiec wartość strategiczną zatoki *Tobrouk*. Jakby w przygotowaniu do owładnięcia prowincją afrykańską, stworzyli Niemcy własną linję żeglugi między Trypolisem, Egiptem a Syrją; niebawem zaś urządzenie posterunku telegrafji bez drutu w Trypolisie powierzone zostało Niemcom; wreszcie, by rozproszyć ostatnie wątpliwości co do swych zamiarów, Niemcy wydelegowały do Trypolitanji misję inżynierów celem przeprowadzenia badań górniczych, za zgodą i pod osłoną rządu tureckiego: badania wypadły snadź pomyślnie, gdyż natychmiast, tegoż roku 1911, kapitaliści niemieccy jęli nabywać olbrzymie obszary ziemi w okolicach górniczych. Dla Włoch tedy wydzwoniła ostatnia godzina decyzji: musiały one albo ubiec swego przysięgłego sojusznika, albo wyrzec się Libji na zawsze. Wybrały to pierwsze, i to im zaszczyt przynosi,—powiada Dauzat. Zali czekać miały na nowy z ręki niemieckiej zamach, w rodzaju zamachu na Agadir? Pośpiechu, z jakim rozpoczęły wojnę, nie powinnaby chyba brać im za złe Francja: ona właśnie powinna była zrozumieć, że Włochy, uderzając w Turcję, uderzeniem swym właściwie odpierają grożący najazd germanizmu: Francja, która tyle wysiłków i tyle lat straciła na bezsilne blokowanie Niemiec, powinna była zrozumieć, że w łańcuchu tej blokady ogniwem bardzo ważnym stanie się właśnie osadzenie Włoch w Trypolisie.

Jakoż mogła nie zrozumieć tego?

Oślepiło ją złoto. Uwiodło ją złoto, od szeregu lat lokowane w państwie Tureckim. Zatrwożyła się o kapitały, w tureckich przedsiewzięciaeh zaangażowane, i trwoga ta kazała się jej solidaryzować z interesem Turcji, zarówno podczas wojny o Trypolis, jak i podczas wojny Bałkańskiej. W obu wypadkach, Francja, popierając Turcję, sprzeniewierzała się, zdaniem p. Dauzat'a, głębiej pojętemu interesowi własnemu; podtrzymanie przy życiu Turcji, — powiada on, — leży być może w interesie giełdy paryskiej; ale interes narodu i państwa przekracza interesy giełdy, a nieraz bywa z nimi sprzeczny. Dla polityki państwa francuskiego nierównie większe korzyści wynikają z rozrostu państw bałkańskich, niźli z ocalenia lub balsamowania Turcji. Ta ostatnia zawsze będzie tylko polem żerowiska dla żywiołów niemieckich; gdy tymczasem młode i silne, zwycięzkie ludy słowiańskie na Bałkanie, wyparłszy Turcję, staną się przyrodzonym szańcem obrony i przeciwwagi wobec potęgi germańskiej. Na bankructwie Turcji stracić może giełda francuska; ale na wzmocnieniu państw bałkańskich wygrywa niewątpliwie idea mocarstwowa Francji. Obok państw bałkańskich również naturalną zaporą przeciw kolosowi niemieckiemu mogłyby stać się Włochy, gdyby były przez Francję mniej egoistycznie, bardziej zaś po bratersku i przezorniej traktowane.

Że Włochy dzisiejsze są sprzymierzeńcem nie do pogardzenia, to wykazuje autor w szeregu rozdziałów swej książki, poświęconych rozmaitym zjawiskom e k s p a n s j i w ł o s k i e j: na polu gospodarki wewnętrznej, sił zbrojnych, ideologji narodowej, polityki zewnętrznej. Wszędzie czuć pulsowanie krwi młodej; wszędzie przyrost sił i zasobów: i w kulturze narodu, i w organizmie pracy, i w duszy narodowej, która coraz pełniejszy dobywa z siebie ton dumy, odwagi, godności.

Zabór Trypolisu pociągnął za sobą koszta dla Włoch duże: i w ludziach i w kapitałach. Ale były to koszta tego rodzaju, którymi narody rosną, wzmagają się i nabierają pewności siebie. Ile w wojnie samej wykazali Włosi młodzieńczości i zapału, tyle obecnie w organizowaniu kolonji okazują dojrzałości politycznej. W ciągu dwu lat ostatnich, urządzaniem portów, wznoszeniem miast, użyźnianiem roli i budową szkół dowiedli oni, że nietylko umieli zdobyć kraj, że również potrafią go utrzymać. Na uwagę zasługuje fakt, że w szkołach trypolitańskich zawarowano Arabom własny język i własnych zostawiono nauczycieli: czyli przyznano im takie prawa, z jakich nie wszędzie korzystać mogą Polacy. Siła połączona z tolerancją: oto znamienny wykwit dojrzałości politycznej.

Ona to sprawia, że o przyjaźń Włoch już dziś ubiegają się narody; że nad jej utratą już dziś ubolewają Francuzi; że o jej odzyskanie jutro może starać się będą.

A. D.

Drzazgi.

Nie podoba mi się, by policja wtrącała się w sprawy miłosne. W ostateczności, gdy zdarza się wypadek schwytania kobiety na gorącym uczynku, winnoby się aresztować mężczyznę. W dziewięciu razach na dziesięć wina bywa po jego stronie.

* * *

Różnica między Sienkiewiczem a Żeromskim:

Sienkiewicz w swych powieściach ofiaruje bohaterowi kobietę, jak wieniec dębowy na czoło. Żeromski — jak plaster na ranę.

L. BRUNN.

Fałszywa demokracja.

Z CYKLU: «CHORA RZECZPOSPOLITA»

6.

Nazajutrz po tragicznej śmierci Calmette'a pisał Jaurès w *Humanité*: „Opłakana ta sprawa spotęguje jeszcze chaos i niemoc kończącej się właśnie kadencji prawodawczej. Czy *partja republikańska* w tych warunkach potrafi zdobyć się na dostateczny zasób energji i siły bojowej?"

Ostatnie to zdanie, nacechowane wyraźną troską i obawą o przyszłość republiki, rzuca snop światła na francuskie metody polityczne. Widzimy więc, że po 43 latach istnienia, republika, nawet w oczach swoich szermierzy, niczym innym nie jest, jak tylko — *partją*. Coprawda, partją niezwykłą, wybujałą do potwornych rozmiarów, zawieszoną wysoko nad państwem jak olbrzymia kopuła, która przecież lada dzień runąć może i zasypać gruzami całą Francję. Partja republikańska ze swą świętą tradycją Wielkiej Rewolucji, ze swymi dogmatami, ze swą wszechpotęgą i wszechwładzą jest jakby religją państwową świecką, posiadającą ustrój kościelny i liczny kler. Nie popełniam wielkiej przesady, twierdząc, że partja republikańska oddzieliła Kościół od Państwa po to, by zająć jego miejsce.

Mimo to partja pozostała partją: cały więc ustrój państwowy zależy od losów jednego stronnictwa. Chwila, kiedy większość republikańska stopnieje w parlamencie, będzie ostatnim dniem rzeczypospolitej. Teoretyczna ta hypoteza nabiera kształtów rzeczowych, skoro przypomnimy sobie, że na prawicy w Pałacu Burbońskim zasiada 80 przeszło „reakcjonistów", dążących do zmiany ustroju drogą parlamentarną. Za ich plecami świecą jeszcze ultra-fiolety skrajnych monarchistów z obozu *Action Française*, którzy nad żmudną walkę wyborczą przekładają zbrojny zamach stanu. Francuski więc parlamentaryzm, w odróżnieniu od angielskiego, bynajmniej nie zabezpiecza kraju od wstrząsów i niespodzianek. Kiedy w angielskiej Izbie Gmin partja rządząca ponosi porażkę, członkowie rządu przechodzą na lewo i zajmują miejsce leaderów opozycji, ci zaś, tworzący gabinet w rezerwie, przystępują poprostu do służby czynnej. Niema też w Anglji „reakcjonistów", są tylko „zachowawcy", dla których wszelkie prawo, raz uchwalone, jest nietykalne i święte.

We Francji wszystkie kryzysy ministerjalne są zazwyczaj tylko zmianą osób; kiedy Jerzemu Clemenceau czyniono zarzut, że obalił 16 gabinetów, ten odparł: *„c'était toujours le même.* Istotna zmiana większości w Izbie Posłów byłaby gruntownym przewrotem, niewiele mniejszym od rewolucji.

7.

Chociaż obawy Jaurès'a były na razie płonne, jednak zaprzeczyć nie można, że francuska republika „partyjna" spoczywa na chwiejnych podstawach. Jeśli wypadek tak nieznaczny, jak śmierć dziennikarza w zatargu z ministrem, budzi popłoch i troskę augurów „partji" republikańskiej — to cóż dopiero powiedzieć o kataklizmach takich, jak np. wielka klęska dyplomatyczna lub przegrana wojna? Weźmy sprawę Rochette'a. Rząd francuski najwyraźniej uląkł się tego człowieka. Dlaczego? W roku 1911, kiedy prezesem rady ministrów był Monis a Caillaux ministrem skarbu, Rochette, ścigany sądownie, zjawił się w redakcji dziennika *Rappel*, jednego z głównych organów „partji" republikańskiej. Zdumionemu redaktorowi pokazał bankier odbitkę broszury, którą zamierzał właśnie ogłosić, a w której czarno na białem dowiedziono, że konsorcjum wielkich banków, finansujących wszystkie pożyczki na rynku paryskim, wyrządziło krajowi strat na 10 miljardów fr. w ciągu 25 lat. Rochette, który znał na wylot kulisy wielkich finansów, a sam umiał wyłudzić od naiwnych przeszło 150 miljonów, trafił tą rewelacją w sedno, bo redaktor, Edmund du Mesnil, w pomieszaniu wielkim zawołał dosadnie:

— Nom de Dieu! Il y a de quoi f... par terre la République!

Wygłosiwszy te historyczne słowa, pobiegł do ministra skarbu, który zafrasował się również, a chcąc za wszelką cenę odwrócić od republiki groźbę tych zgubnych rewelacji, wezwał nadprokuratora Fabre'a i polecił nie tykać Rochette'a. Zmyślny oszust, stawszy się *tabu*, mógł w niezakłóconym spokoju dokonać swych operacji, poczem bez pośpiechu wyniósł się zagranicę. Cała ta skandaliczna sprawa wyszła na jaw po śmierci Calmette'a, w toku prac parlamentarnej komisji śledczej, która zresztą, po długich debatach, pośpieszyła... przenieść Fabre'a z Paryża na prowincję tytułem kary za to, że spełnił rozkaz ministra. Wyszła zaś na jaw ta sprawa tylko dlatego, że sam Rochette pośpieszył wyjaśnić ją w liście, który zresztą znalazł się na szpaltach *Matin*'a, zanim został komisji doręczony. Drobny ten epizod znowu rzuca jaskrawy snop światła na dwie potęgi, dominujące w życiu francuskim: finanse i prasę.

8.

Francja jest największym na globie rynkiem pieniężnym, pełnym zawsze gotowizny, o którą ubiega się zadłużony i niecierpliwy

świat. W osobach więc dyktatorów giełdy i kredytu widzi Francja największych swoich potentatów. Oni to rządzą krajem równie bezwzględnie, jak w Niemczech junkrzy ze wschodu, a w Hiszpanji, do niedawna, kler. Mury wielkich banków o wiele bardziej fascynują tłum paryski, niż gmachy ministerjalne. Giełda jaśniejsze ciska promienie, niż Pałac Burboński. Nowe pożyczki, konwersje, emisje, obligacje i akcje stokroć żywiej są komentowane, niż manifesty polityczne i odezwy wyborcze. Wysoko nad rządem, pośród chmur i piorunów swego Olimpu, góruje we Francji potężna oligarchja finansowa. Francuscy mężowie stanu, o ile nie rekrutują się sami z pośród owych oligarchów, jak Rouvier i Caillaux, często są ich słomianymi ludźmi. Zresztą postaci dostojników państwowych zacierają się i bledną wobec takich mocarzy, jak np. gubernator Banku Francuskiego i dyrektorzy t. zw. grupy wielkich banków, a mianowicie: *Crédit Lyonnais*, *Société Générale*, *Banque de Paris et des Pays-Bas*, *Comptoir National d'Escompte* i *Banque Privé de Paris—Lyon—Marseille*. Od postawy tych potęg, od ich orjentacji, od ich kaprysów czy korzyści zależy nieraz kwestja pokoju i wojny, zależy prawie zawsze zewnętrzna polityka francuska; w tych warunkach nie może ona imponować światu godnością i odwagą; przeciwnie, czyni się trwożliwa, płochliwa, kramarska. Nie jest też wcale dziełem przypadku, że dwukrotnie, za rządów Rouvier'a i Caillaux, doznała Francja upokorzeń, streszczonych w dwóch słowach: *Tanger* i *Agadir*. Jeden Clemenceau, człowiek niezależny i śmiały, poważył się na groźby niemieckie odpowiedzieć: spróbujcie! Co większa, on jeden poważył się... aresztować Rochette'a, czego mu po dziś dzień jeszcze nie darowano.

9.

Demokracja francuska łudzi się więc niekiedy pozorami wolności: bezwzględna władza i czujny wpływ oligarchji finansowej umie obracać w niwecz programy partyjne i paraliżować niedogodne dla siebie reformy. Wielu pięknych zamiarów przez to poniechano, wiele rąk wzniesionych do czynu opadło bezsilnie. Słusznie więc powiedział Jaurès, zamykając prace komisji śledczej w sprawie Monis-Caillaux, że naród francuski powinien raz nareszcie stanąć do walki z feodalizmem pieniężnym, równie bezwzględnym i szkodliwym, jak dawny feodalizm rycerski. Niestety! We Francji, jak i w Polsce, słowa często starczą za czyny.

J. PAPINI.

Człowiek śród ludzi.

Z CYKLU: «TRAGEDJE CODZIENNE».

I.

Wyobraźcie sobie człowieka, któryby zamyślił straszliwe przedsięwzięcie, rzecz przekraczającą najśmielszą fantazję: człowieka, któryby w sercu powziął tajemny zamiar wysadzenia z posad historji, życia i świata, i który nie chce i nie może jeszcze nic powiedzieć o tym, co zamierza uczynić i co uczyni; ci zaś, którzy go otaczają, nie rozumieją nic z tego, co się gotowi. Wyobraźcie sobie zachwyt i mękę tego człowieka. Sam jeden, niemy, z oczyma w dal wytężonymi, przebiega szybkim krokiem śród tłumów ludzi, i nikt nań nie patrzy, nikt się nie dziwi, nikt go nie śledzi, nikt się przed nim nie usuwa, nie ulega osłupieniu. Na rzut oka zdaje się i on być człowiekiem, jak wszyscy inni. Z ubrania, z twarzy, z postaci ciała zda się on być we wszystkim podobny do innych: człowiek wpośród ludzi i — nic więcej! Chodzi ulicami, mrowiącymi się ludem, i nie pokazują go sobie palcami; patrzą na niego i nie dostrzegają go; co najwyżej jakiś chłystek zaśmieje się z jego włosów nie dość gładko umuskanych, lub z jego chodu marzyciela. Ale wyobraźcie sobie duszę tego człowieka, duszę tego człowieka, który przechodzi ze swą tajemnicą niewidzialną wpośród ludzi ślepych, przechodzi wpośród nich milczący i roztargniony, i niesie w sobie coś, co ma zmienić całe ich życie, ich przyszłość, ich losy; miesza się z nimi, ociera się o nich łokciami, dotyka swoją osobą, i który jeszcze nie chce wyrzec swego słowa, nie chce spełnić czynu, który nań zwróci oczy wszystkich, który ugnie przed nim wolę całego świata, który oświeci tych wszystkich ślepców i rozwiąże języki tym wszystkim, którzy bełkocą. Człowiek biegnie szybkimi kroki, pełen snów olbrzymich, i sam siebie widzi już w minucie objawienia, i całe dzieło jego cudem boskim przed nim się odsłania. Już znana mu jest męzka radość twórczości; jego bujne serce bije wielkimi porywami; jego szare oczy rozszerzają się jak jak od pożaru zmysłów.

Wyobraźcie więc sobie radość tego człowieka, szaloną posiadającego tajemnicę. Wyobraźcie sobie niebotyczność jego rozkoszy, gdy wymija obojętny albo uśmiechający się tłum, tłum, który, nic o nim nie wie, który uważa go za swoją cząstkę, za atom swojej grubej bryły, za człowieka pośród ludzi i za nikogo więcej. Ciżba nie wie, co się sposobi pod

czaszką przechodzącego człowieka. Widzi jego odzież szarą, jego chód nierówny, jego zwichrzone włosy, jego twarz wychudłą i nie umie odróżnić go od tylu innych, którzy są doń podobni. Ale przyjdzie czas, w którym niejeden pocznie przypominać sobie, gdzie i kiedy mógł go widywać; niejeden będzie zmyślał rozmowy i powiedzenia, których tamten nie wyrzekł; tysiące będą się zaklinać, że stali przy nim i że korzystali z jego przyjaźni w okresie jego nieuznania. Ale teraz on nie jest *nim*, jest liczbą, jest jednostką, obywatelem, kimś, imieniem, właścicielem paszportu. Jego dzień jeszcze nie nadszedł. Ludzie nie umieją sięgnąć poza pole swego widzenia, i nie domyślają się że w tym ciele, prawie pospolitym, żyje myśl, zdolna do rozpoczęcia nowego rozdziału w historji świata.

Podobny jest do człowieka, który po nocy wędrując niesie latarnię pod płaszczem ukrytą: skoro otworzy poły płaszcza, latarnia oślepi tych, którzy ją ujrzą. Jest jak nieznany Bóg, który przerazi wszystkich, do których pierwsze zwróci słowo.

II.

Wyobraźcie więc sobie tego człowieka i jego myśli, mnodzy, do których mówię, mnodzy śród niezliczonych okazów ślepoty. I nie wyobrażajcie go sobie, jako sen pusty, jako wymysł przelotny. Wystawcie go sobie, jako rzecz możliwą, jako rzecz, którąby mogła być prawdziwą, która *może* jest prawdziwa. Wystawcie go więc sobie, — o tłumy krótkowidzów — jako coś, co istnieje w rzyczywistości, co istnieje naprawdę, dziś, obok was, pośrodku was! Upewniam was, że człowiek ten istnieje! Upewniam was, że istnieje i że się gotowi! Upewniam was, że człowiek ten chodzi po waszych drogach, wstępuje w wasze domy, spoziera w wasze źrenice! Człowiek ten czuwa, myśli, kuje broń. Dzień jego jeszcze nie nadszedł, ale nadejdzie. Jego usta wymawiają tylko najzwyklejsze wyrazy ludzkie, ale w owym dniu wymówią słowa inne. Mija dzisiaj skromnie wasze postaci, krążące dokoła, ale przyjdzie dzień, w którym sam jeden stać będzie przed wami, i wszyscy go ujrzą, i wszyscy przypomną sobie, że nań czekali w jakimś nieuchwytnym momencie swego nędznego życia.

Strzeżcie się tego człowieka, o nieprzeliczeni! Jego tajemnica gryzie go i szarpie, ale on nie jęczy, nie okazuje bólu. — Jego sen unosi go, wzbija na wyżynę, napełnia szczęściem, lecz on nie uśmiecha się i nie okazuje radości.

Człowiek straszliwy, człowiek, który się zda mogiłą nadziei, a jest, natomiast ogniem gotowym do miotania iskier i ogarnięcia pożarem wszystkich waszych miast brudnych i niedołężnych. Nauczcie się wyróżniać go z tłumu, biegnijcie za nim gromadą, rzućcie się na niego a może zdołacie zagasić jego płomień swymi oddechy, stłumić żar jego pod popiołami swych snów umarłych.

Miejcie się na baczności, oglądajcie się na wsze strony. Może w tej oto chwili jest obok was, może jutro przejdzie przed waszym domem, z okien będziecie go śledzić spojrzeniem, może jest tym, który wczoraj obrócił się, aby się wam przypatrzeć, jakby nagłym chwycony wspomnieniem.

Nie wiecie z której strony nadejdzie. Nie wiecie, jak będą brzmiały jego imiona, jakie będzie jego pochodzenie. Pomyślcie o wszystkich w starożytności objawieniach; jakim bywały poprzedzane milczeniem, i jaką niewiadomością powszechną; pomyślcie o tych, którzy widzieli Chrystusa dzieckiem. Iluż z nich pomyślało, że dziecko to świat obdarzy nową treścią, że ludziom da nowe słowo życia? Iluż z nich odgadło, że ta jego głowa jasnowłosa zwiśnie na krzyżu, i że z tych ust jego bladych wyjdą słowa wszechmocne, na których dźwięk chromi się podniosą, a umarli zmartwychwstaną? Pomyślcie o tych wszystkich, którzy w pewnej chwili przemówili i stali się przewodnikami, objawicielami, reformatorami, a których nikt nie zdolen był odróżnić od innych, dopóki nie rzekli i nie zrobili tego, co rzec i zrobić musieli. Dla wszystkich sławnych i dla wszystkich wielkich, dla wszystkich odnowicieli i twórców, istniał czas pewien, w którym byli nieznani i szarzy, w którym zdawali się podobni do innych, w którym zdawali się być ludźmi, i niczym więcej. Nikt wtenczas nie badał ich pochodzenia, nikt nie spoglądał na nich z podziwem, nikt nie odtwarzał w pamięci ich słów pierwszych, nie rysował ich wyglądu, ich nawyknień, nie dociekał ich stanów wewnętrznych. I kiedy nagle wzbijali się ponad was wszystkich, o niezliczone tłumy bielmem zaciągniętych oczu, dziwiliście się i kruszyli w swym sercu, żeście nie odgadli cudu, gdy śród was się gotowił. I także dziś, powtarzam to jeszcze raz wam wszystkim, także dziś napewno cud jakiś powstaje. Każdy wiek mieć musi swych bohaterów i swych zwiastunów.

Nie widziany i nie przeczuwany, czeka dzisiaj śród was bohater i zwiastun jutrzejszy. Rzecz niemożliwa, aby człowiek ten nie istniał już teraz. Żyje w mroku, światło jego jeszcze jest w ukryciu; lecz on istnieje, żyje, chodzi szybkimi krokami śród was; podobny wam, ale już nie człowiek między ludźmi, lecz przyszły pasterz między stądem, przyszły hetman śród zastępów wojska.

Chciałbym obudzić w was zmysł i oczekiwanie tego władcy, który żyje własnym życiem, obok życia waszego, i którego wy ani znacie ani przeczuwacie. Chciałbym obudzić w was, o niezliczeni, dreszcz niespodzianej zjawy tego Jednego. Szukajcie go w waszych rzeszach, szukajcie bez przerwy, niechaj nikt oczom waszym nie ujdzie: niech każde oko wam powie, zali nie posiada tajemnicy. On istnieje i *patrzy na was*: czyż nie czujecie wagi jego spojrzenia na swym maleńkim życiu? On żyje i czeka: czyż nie czujecie ucisku oczekiwania nazbyt już długiego?

Oto stoi tam, śród was, — samotny, niemy, ze wzrokiem wytężonym... Przystanął na chwilę i patrzy na was. Lecz oto rusza znowu w niecierpliwą drogę, i znowu, w mrowisku tłumów i we mgle, która je spowija, jest tylko człowiekiem śród ludzi, cieniem pośród cieni, nadzieją straszliwą pośród morza ślepoty.

ROMAN ZRĘBOWICZ.

G. K. Chesterton.

I.

Wstęp do ortodoksji pisarza.

Jest tradycyjnym zwyczajem u ludu polskiego i mieszczaństwa znaczyć kredą w dn. szóstego stycznia na drzwiach i sosrębach swego domostwa początkowe litery „Trzech Króli": K. M. B. Wyrażają one dokładnie wzruszeniową treść tego, co nazywamy „polskością". W tych znakach nieforemnie nakreślonych spracowaną ręką wieśniaka mieści się i epika naszych strzech słomianych, i liryka gniazd bocianich, i poezja białych dworków, i symbol staropolskiego powitania.

Nie wiem, czy jest w Anglji podobny zwyczaj przyjęty, lecz przyznam się (bez literackiej przenośni), że wchodząc do idealnie przeciętnego domu angielskiego, radbym na jego drzwiach ujrzeć następujące inicjały: G. K. C. (Gilbert Keith Chesterton). Mówiłyby mi one nie tylko o popularności tych liter, którymi Chesterton znaczy swe nader cenne artykuły, ale przedewszystkim wyrażałyby jasno treść współczesnej umysłowości i moralności angielskiej.

Jeśli jednak K. M. B. wypowiadają niestety jedną tylko, a mianowicie tradycyjną i wzruszeniową stronę polskiej narodowości — to G. K. C. są znakiem wynikowym całości kultury angielskiej. Pierwszy emblemat zawiera to, co w nas stoi, nie zmienia się, ale... zato krzepi i do ufności pobudza (!) — drugi natomiast poucza, że naród angielski to krzepi i do ufności pobudza, co, podejmując najcięższe i najbardziej rozwojowe zadania życia, wyraża świadomą siebie wolę. Dlatego literatura angielska jest tak nieustannie żywa i nieustannie jednolita. Dlatego nie znalazła się ona nigdy w sztucznym nakazie utrzymywania ciągłości przez pietyzm, ani w bankructwie literackim przez kabotyńską, zmechanizowaną miłość do form oryginalnych. Dlatego jest ona istotnie „zwierciadłem" swego narodu i dlatego zdoła w sobie pomieścić tak różne i tak osamotnione indywidualności. „Bo nie tylko — jak pisze Brzozowski — Szekspir, Spencer, lub Milton, ale i Chaucer urabiali dojrzałość dziejową angielskiego narodu".

Tyle przez nią przepłynęło powszechno-ludzkich instynktów, że chyba tylko z powodu geograficznego położenia Anglja nie odegrała roli wykonanej przez Francję w dziejach europejskiej ideologji. Bo czyż — dorywczo ilustrując — taki n. p. Locke całą swoją głębią nie przewyższa wszystkich encyklopedystów francuskich? Czyż nie jest bardziej ludzką i bardziej świadomą siebie szczerość wzruszeń kulturalnych K. Lamba od Juljusza Laforgue'a? A czyż nie przerastają o całe niemal ramię Fidjaszowe Shaw — France'a, Kipling — Lotiego, nie mówiąc już o Blake'u, Browningu, Meredithie i Welsie, dla których w literaturze francuskiej nie można wprost znaleźć djalektycznego punktu zaczepienia? Jedynie może Balzac podaje równorzędną dłoń Dickensowi.

A Chesterton — ?

Ma pewne wspólne cechy z Barrèsem, i to, być może, o tyle, o ile poczuwa się do reprezentacji obrony angielskiego „tradycjonalizmu"; lecz wątpię, by człowiek o tak jowialnej tężyźnie umysłowej zdołał być, jak Barrès, oficjalnie klasycznym pisarzem swego narodu. Dlatego Chesterton budzi przedewszystkim w swoim czytelniku zaufanie i to tam najbardziej, gdzieby się chciało z nim najsilniej polemizować. A polemizować z nim jest rzeczą nader niebezpieczną. Nie myślę tu o jego nadzwyczajnych fintach i paradach pisarskich. Myślę o jego liberalnym dogmatyzmie, z którym może polemizować tylko „heretyk", posiadający co najmniej tyle prawd ustalonych, co Chesterton latających paradoksów. Jakąkolwiek będzie jednak ewentualna porażka, to i najzagorzalszy przeciwnik będzie mógł rzeczywiście bez urazy i intelektualnych wybiegów oddać Chestertowi jego własne słowa i uznać je bez zastrzeżeń: „Człowiek da się zdefiniować jako zwierzę, produkujące dogmaty. Gdy spiętrza on naukę na nauce, konkluzję na konkluzji, aby jakiś ogromny schemat filozoficzny, lub religijny zbudować — to jest wówczas człowiekiem w praw-

dziwym i jedynym znaczeniu tego słowa. Gdy zaś sceptycznie naukę po nauce odrzuca, jest poza wszelką definicją, nie wierzy w żaden koniec, wznosi się ponad wszystko i wyłącznie rolę widza odgrywa — wtedy spada on do poziomu niewiedzy zwierząt i roślin. Drzewa żadnych nie posiadają dogmatów. Buraki są niezwykle tolerancyjne".

Przeto Chesterton zajmuje się wyłącznie autorami, których pogląd na świat jest jednolity, dlatego, że jest od jego poglądu skrajnie różny, lub zupełnie fałszywy.

„R. Kipling — pisze Chesterton — żywy pisarz, potężna indywidualność zajmuje mnie tylko jako „heretyk", t. z. jako człowiek, ośmielający się we wszystkich pytaniach być innego, aniżeli ja, przekonania. Bernard Shaw, jeden z najzdolniejszych i najuczciwszych ludzi doby obecnej zajmuje mnie tylko jako „heretyk", t. z. jako człowiek, którego filozofja jest całkiem jednolita i konsekwentna, wszelako z gruntu fałszywa".

Obrona ortodoksji, jako jednej z najstarszych i najniezawodniejszych podstaw umysłowości i moralności człowieka — jest zasadniczem tętnem myśli Chestertona. Ortodoksja Chestertona, formalnie rzecz biorąc, jest reakcją przeciw wybujałemu indywidualizmowi z końca XIX stulecia, w imię obrony narodowej energji. Pod tym względem wyraża mniej więcej to samo, co współczesny renesans Francji, co konserwatyzm Barrèsa, jako przeciwdziałanie renanowskiemu sceptycyzmowi.

Zaiste, żywotność Zachodu jest ponad wszystko lojalna. Gdzieś, jakoś sprzęgają się tu różne myśli i różne na świat poglądy, by wspólnymi siłami przeprowadzić rychlej i skuteczniej dzieło postępu i narodowego odrodzenia. A zjawisko to jest tak częste, narzuca się z taką siłą, że pomijanie jego wartości i konsekwencji należy uważać za dowód zupełnego nieorjentowania się w podstawowych wykładnikach kultury europejskiej. Książka Jabłonowskiego p. t. „Dwie kultury" niech będzie smutnym tego przykładem. Uważać bowiem „włoskie wrażenia" rosyjskich pisarzy za dokumenty, wyjaśniające różnice kulturalne między Wschodem a Zachodem Europy — jest co najmniej rozbrajającą naiwnością.

Ale wracając do Chestertona, lojalność ta wyraża się u niego w zgoła odmiennej formie, aniżeli u M. Barrèsa. Autor „Ogrodu Bereniki" i „Natchnionego wzgórza" używa jej jako zupełnie świadomego środka pisarskiego i agitacyjnego — u Chestertona natomiast pod jowialną maską szkockiej filozofji zdrowego rozsądku biją najbardziej wzmożone tętna współczesnej woli Zachodu, pełne poezji i umiłowania postępu. Ortodoksja Barrèsa powstała z mimo wszystko romantycznej za nią tęstknoty, u Chestertona zaś była organiczną potrzebą. U pierwszego jest ona szmaragdem nadziei, u drugiego rubinem pełni życia, świadomym swoich sił i swojej granicy. Chesterton, gdyby polemizował z Barrèsem, powiedziałby mu obcesowo:

— Pańska filozofia wydaje mi się podejrzana, dlatego, ponieważ jest zbyt poważna i zbyt sentymentalnie broni dogmatu energji narodowej; a dalej przemawiałby w sposób następujący:

— Nie kto inny, tylko pan, z pośród was wszystkich Francuzów, powtórzyłby słowa, z jakimi ośmielił się zwrócić do mnie Mac Cabe, jeden z moich arcyszanownych krytyków: „Jeśli Pan już musisz robić żarty, to nie wybieraj Pan tak poważnych spraw do swego dowcipu". I wie Pan, co mu odpowiedziałem? — „A z czego winno się śmiać, jeśli nie z rzeczy poważnych?"

— A teraz, posłuchaj mnie Pan uważnie. Ten tam Mr. Cabe, krytykując moją działalność literacko-społeczną, wśród powodzi hieratycznych powiedzeń, jak: „ludzkość stoi na uroczystym rozdrożu", „myśliciel winien sobie zdawać z tego wagę pełną groźnego znaczenia", „ludzkość pozornie opuściła ścieżkę cnoty" i t. d. i t. d., powiada na samym końcu: „Balet w Alhambrze i ognie sztuczne w Crystal-Palace i artykuły Chestertona w Daily News stwierdzają zapewne swoje miejsce i mają swój cel w życiu. Ale jak poważny, socjalny myśliciel chce leczyć bezmyślność naszego pokolenia naśrubowanymi parodoksami, w jaki sposób pragnie rozwiązać społeczne zagadnienia naszego narodu zapomocą literackich, kuglarskich sztuczek kieszonkowych i t. d., to dla mnie zagadką pozostanie.

— I wie Pan, jeśli Mr Cabe pyta mnie, dlaczego do ludzkich spraw wprowadzam krotochwilność, to odpowiadam mu: ponieważ krotochwilność jest częścią ludzkiej natury. Gdy mnie karci, dlaczego paradoksy, jak on je tam nazywa, do filozoficznego wprowadzam zagadnienia, to odpowiadam mu: gdyż wszystkie problemy skłaniają się do tego, by stać się parodoksami. I twierdzę dalej, że cały świat, przynajmniej według moich spostrzeżeń, bardziej jest podobny do ogni sztucznych z Alhambry, niż do jego własnej filozofji. Ponad całą ziemią płynie potężna, tajemna atmosfera radości, zupełnie jak przed wieczorem „guy Fawkesa". Wieczność jest wigilją jakiegoś wielkiego zdarzenia. Gdy spoglądam na gwiazdy, nie mogę się pozbyć myśli, że są to rakiety studenta, które w swoim ustawicznym spadaniu unoszą się po niebie".

Tak przemawiałby Chesterton swojemi własnemi prawie słowy do M. Barrèsa, polemizując z powagą stylu tego pisarza, w sposób mniej więcej zbliżony do K. Irzykowskiego, kiedy to polski autor zwalcza t. zw. żywiołowość. Sądzę, że na polu współczesnej ortodoksji bliższy jest Chestertonowi K. Irzykowski, aniżeli M. Barrès.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Czy „Świętoszek" Moliera należy do Wielkiej Sztuki, czy należy wogóle do Sztuki? Pytanie to łyska się zdradliwymi pierścieniami węża przy wszystkich dyskusjach, w których mowa jest o najwyższej Sztuce Teatru. Insynuacje, które padały za życia genjalnego francuskiego komedjopisarza, nie skończyły się z jego śmiercią. Nie chciano go grzebać po śmierci... nie oszczędzono mu za życia jednego zarzutu, jednego oszczerstwa. Dziś, po pół wieku, pantalonada przeciw Molierowi nie jest bynajmniej zakończona... popioły wielkiego Twórcy leżą już dawno rozsypane, zaś polemiki najbardziej namiętne są wciąż jeszcze żywe i pełne krwi czarnej, skoro chodzi o Jego Sztukę.

Frenkiel w Teatrze Rozmaitości odpowiedział jasno i dowodnie czem jest Tartuffe. Wielki artysta stworzył *genjalną kreację*: zademonstrował przed nami potwór, gdyby z Apokalipsy; zwierzę czające się tysiącem niewidzialnych macek, które w chwili pierwszego zagrożenia rozprostowują się tysiącem pazurów. Wyrok księcia — Deus ex machina — obala jednem uderzeniem bestję triumfans, która była wylęgła się na grzeskiej mieliznie orgonowej dobroduszności. Frenkiel pokazał nam Tartuffa nie w formie karykaturalnej groteski (à la Coquelin), ale przez pryzmat wizyjnie głębokiej Sztuki: wskrzeszając potwór wywołał w nas takie dreszcze, jakie wywoływać w nas zwykły owe gady z epoki minionej, zrekonstruowane przez pracę badaczy kuli ziemskiej: gady o cielsku pozornie dobrodusznem, kołyszące się zezem obłudnie zaczajonych oczu i mające paszcze zamknięte, zdolne jednym zygzakiem błyskawicznie rozchylać się i ujawniać najostrzejsze zęby.

Pisać o grze Frenkla, o Tartufie Frenkla, byłoby to stworzyć całą monografję na chwałę i chlubę polskiego Teatru: byłoby to szereg cudownych dokumentów sprecyzować na stałe: ująć w jedno wizerunek maszkary, poroniony fenomen natury oraz Zło przez Inkubację wewnętrznej Perwersji... byłoby to raz na zawsze ocalić przed rozwianiem się to, co dobył genjalny polski aktor i to na chwilą jedną (jakżeż jest rozwiewną!) jako odpowiednik Tajemnicy Moliere'a. Grę Frenkla trzeba widzieć... trzeba zobaczyć wygięcie wężowe ust z kącikami przekrzywionymi drapieżnie, ręce czające się wzdłuż kadłubu prowadzonego dziwnie zdradliwie, poruszanie szczęką zaznaczone zaledwie... i ów wyraz oczu, patrzących zezem, przypominający japońskie drzeworyty samurajów lub maszkary z albumów nieśmiertelnego Goji, aby zrozumieć na jakich drogach kongenjalnych obraca się czasem twórczość.

To co jest genjalne we Frenklu, wyraża się tem, że artysta ten wyprzedza swoje czasy. Należąc wiekiem do generacji schodzących dziś ze sceny aktorów solistów-wirtuozów, należy on Grosso e Concertino do Teatru o wschodzących zespołach orkiestralnie granych całości, to jest do Nowego Teatru, który z dnia na dzień zdobywa sobie powoli podstawę bytu.

Tartuffe Frenkla to więcej niż wirtuozowska kreacja: jest ona podparta przez rusztowanie całej molierowskiej kompozycji i stanowi kamień zwornikowy tej kompozycji, kamień, na który paść musi (to podkreślam!) *całkowite światło z toczącej się akcji*, z istotnej Prawdy domu syna pani Pernelle.

Dlaczego Frenkiel nie reżyserował sam sztuki, w której jest motorem ruchu; w której zatem gra pierwsze, zatem aktywne skrzypce? Dlaczego sam nie objął batuty nad barwnym zespołem molierowskiej akcji, nie stworzył sam palety dla wydobycia naczelnej przez się tak genjalnie ujmowanej barwy?

Sądzę, że tu należy szukać przyczyny dlaczego „Świętoszek" Moliera przeszedł w Warszawie niepostrzeżenie prawie i dlaczego nie stał się ewenementem dnia Sztuki Teatru, dniem, który mógł w całej wspaniałości wzejść, rozbłysnąć i przyciągnąć do siebie wszystko co jest żywe i związane w Warszawie z istotnem Pięknem.

Powinien był Frenkiel reżyserować, miał prawo do tego, powinien był z tego prawa korzystać. Reżyserować bowiem może tylko ten, który wnosi *interpretację*, zaś interpretację Tartuffe'a wniósł Frenkiel niepodzielnie, jak to widać było z każdego słowa i każdej kreski wielkiej gry. *Oddanie reżyserji w obce ręce pogrzebało dzieło.*

Reżyserja, którą widzieliśmy (J. Śliwickiego), nie tylko że nie stała na wysokości interpretacji frenklowej, ale wogóle nie miała nic do czynienia z prawdziwą twórczością. Zamiast ścinać każdą scenę (a przez to całe dzieło) w jedną zwartą kompozycyjną całość, w jeden akord, grany przez cały zespół zgodnie z każdorazowo akcentującym się tematem istotnej dramatyzacji, reżyserja ta rozrywała wszelką akcję na fragmenty nie związane ze sobą. Jako przykład ośmielę się podać scenę 3-ią aktu IV-go czyli ową scenę, w której Mariana klęka przed ojcem, błagając go, by nie chciał jej wydawać za mąż za Tartuffa. Scena jest wysoce dramatyczna, łatwa do skoordynowania; składa się ona z pięciu osób, aby najjawniej zaakcentować zaślepienie upartego i ślepego Orgona. Dookoła Orgona skupiają się tu Elmira, Kleant i Doryna, aby daremność błagań Mariany podkreślić gestami i przez to ujawnić hypnozę, ciążącą na przyjacielu Tartuffe'a. Zespół ten podkreśla niedojrzałość moralną Orgona pod frazesami tartufowymi. Co zrobił z tej sceny reżyser? Czy kto uwierzy? Oto ustawił pośrodku sceny Orgona przed klęczącą Marianą (pierwsza grupa zamknięta w sobie), w rogu pokoju po lewej ustawił Elmirę z Kleantem (druga grupa zamknięta w sobie: rozmawia ona ze sobą, nie troszcząc się o scenę główną—podczas najgorętszych bła-

gań Mariany udaje ona, że tych błagań nie słyszy i nie widzi!), wreszcie po prawej stronie ustawił Dorynę, która, nie mając pola do popisu, nie wie przez dłuższą chwilę co począć ze sobą (trzecia grupa). Stan taki trwa przez 31 wierszy tekstu Moliera, aby nagle przerwać się (jak Deus ex machina!) przy pierwszych słowach Doryny...

Podobna reżyserja kompromituje w najwyższy sposób Teatr Rozmaitości. Cały Tartuffe od początku do końca podany jest w podobnej karykaturalnej budowie... grupki luźne zawadzają o siebie, czasem jednoczą się (ale znowu, jak!), znowu rozdzielają, ciągle bez jakiegokolwiek przewodniego planu prowadzącej akcji. To nie jest reżyserja, która polifonicznie wszystkie tony zespołu danego konsekwentnie prowadzić umie, a co zatem idzie umie dobywać twórczą interpretację przez kalejdoskop plastycznie zmieniających się co chwila żywych obrazów... jest to reżyserja, która jest zdolna tylko sparodjować daną sztukę i pozbawić ją wewnętrznego jej życia, a przez to uczynić nudną i mdłą (jakże nudną i mdłą!) [1].

Na reżyserji ucierpiał nie tylko Frenkiel; ucierpieli wszyscy artyści... przedewszystkiem kobiety: Mariana, z najdelikatniejszych miniatur stylu Ludwika XIV (Lubicz-Sarnowska) oraz piękna, wytwornie stylizowana Elmira (Sulima), które to obie postaci nie zdołały ujawnić całej subtelności i delikatności gry, koniecznej dla przeciwstawienia się rubasznemu i erotycznie brutalnemu Tartuffe'owi. Z kobiet tylko jedna p. Pichor była na scenie w swoim żywiole... nie sądzimy jednakowoż aby ten żywioł groteskowy, który ona czyniła (w rozdźwięku zbyt rażącym z całą resztą zespołu!) był zgodny z zamierzeniem Frenkla; przeciwnie, twierdzić możemy, że żywioł ten nielitościwie szarpał genjalną kreację Frenkla i przez to rozdzierał zamierzoną polifoniczność, która miała być nie na komedjanctwie i cyrkowej groteskowości oparta (jak dotychczas zawsze w teatrze), ale na *dramatyzacji wewnętrznej dzieła*, którą to dramatyzację ośmielił się także już przed kilku laty zaakcentować wybitny inscenizator Jakób Arvanon, a która to reforma teatru molierowskiego złożona jest jeszcze głębiej i bardziej wyraźnie w tem co nam Frenkiel zamierzał podać na scenie, a co dzięki nieudolnej reżyserji zostało mocno z posad wytrącone a nawet miejscami zupełnie unicestwione.

[1]) Z braku miejsca nie chcę dotykać generalnego planu wyinscenizowanej sztuki. Chcę tylko podkreślić, że niezgodna jest z logiką sztuki (co do czasu!) owa scena niema przy końcu I-go aktu, w której p. Pernelle siada za kratą ogrodu do pojazdu... Przy końcu sztuki, w akcie V-ym, poj zd wraca i przez to naocznie ujawnia widzowi, że akcja III—IV aktu musiała się rozegrać w kilku godzinach zaledwie. To jest absolutnie niemożliwe: Tartuffe musiał mieć więcej czasu dla uczynienia donosu; egzekutywa księcia też więcej czasu potrzebuje niż czas między zniknięciem i powrotem p. Pernelle (spacer czy wizyta). Ujęcie akcji w kilku godzinną ramę zaprzecza wewnętrznej logice dzieła; o tem powinien był też pomyśleć reżyser.

SPROSTOWANIE. W numerze zeszłym zakradł się błąd w artykule wstępnym, wskutek przesunięcia się kilku czcionek, już po dokonaniu rewizji tekstu. Wydrukowano: «Podział pracy zazwyczaj nie prowadzi do spotężnienia organizmu». Powinno być: «Podział pracy zazwyczaj prowadzi do spotężnienia organizmu». Dalej zaś, zamiast: «To wszakże zróżnicowanie, które na gruncie naszej dokonywa się Polski, stało się objawem przyrastania sił polskich...» powinno być: «To wszakże zróżnicowanie ..... stało się objawem nie przyrastania sił polskich, ale raczej...»

Książki nadesłane do Redakcji.

J. Jensen: «Pani D'Ora. Powieść. Przekład z duńskiego. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i Sp. w Warszawie. Ludwik Fiszer w Łodzi. Str. 256.

Melitta: «Zachód». Powieść. Warszawa 1914 Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 250. Cena rb. 1 kop. 80.

Ofiary.

Na Bratne: J. Z. z Żytomierza rb. 50.

Na Zaranie: J. Z. z Żytomierza rb. 50.

Na wpisy dla uczniów niezamożnych szkół średnich prywatnych: J. Z. z Żytomierza rb. 50.

Do rozporządzenia W-go A. Osuchowskiego: Polska młodzież szkolna z Płocka rb. 32.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.